

57674

T 648.52.1



**BIBLIOTEKA
TEATRÓW
AMATORSKICH**

Nr. 193

ARTUR SCHROEDER

ROZKAZ

Sztuka w jednym akcie
z czasów walk legjonowych

LWÓW

SPÓŁKA NAKEADOWA - ODRODZENIE -

R-90

4

90

Rozkaz

Artur Schroeder



Lwów, 1930

Pobrano z Wikizródół dnia 24.09.2017

BIBLIOTEKA TEATRÓW AMATORSKICH

Nr. 193

ARTUR SCHROEDER

ROZKAZ

SZTUKA W 1 AKCIE
Z CZASÓW WALK
LEGJONOWYCH

L W Ó W

SPÓŁKA NAKŁADOWA „ODRODZENIE“

Korpusowi Kadetów Nr. 1 we Lwowie
poświęcam.

AUTOR.

O S O B Y :

KAPITAN KORECKI

JERZY — jego syn

PORUCZNIK ZAWISZA

PODCHORAŻY BRZEG

JÓZEK — ordynans Kapitana

STASZEK — ordynans Porucznika

(Rzecz dzieje się nad Nidą w roku 1915).

Scena przedstawia fragment rowu strzeleckiego. Jest to ziemianka kapitana

Koreckiego, w pozycjach nad Nidą. Dość głęboko wkopana, ostemplowana kilkoma belkami, wcale obszerna, choć niska. Schodzi się do niej po kilku wykopanych w ziemi stopniach. Na wprost sklecone z kilku desek łóżko kapitana Koreckiego, nad nim szabla, w środku wyjęty z książeczki do modlenia obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, przyczepiony do gliniastej ściany. Z boku legowisko ordynansa Józka, nad nim karabin, tornister i jakieś „ozdoby” wymyślone przez niego: wycięty z jakiejś gazety wizerunek Piłsudskiego w ramkach z naboju karabinowych, kawałek bibułki barwnej i gałązka jedliny. Na patyku wbitym w ścianę płaszcz, w środku lepianki na dwu kłocach deski, imitujące stół, przy nim paczki, służące za stołki.

Ordynans Józek, nazwany „melduję, posłusznie”, ponieważ co zdanie powtarza te dwa wyrazy, które bardzo lubi, siedzi w kącie i czyści zawzięcie malutką, pokręconą lampkę kuchenną, dumę jego, którą nie wiedzieć gdzie wytrzasnął i pilnował jej jak oka w głowie. Gwiżdże którąś tam piosenkę legjonową, ogląda na wszystkie strony, spluwa przez zęby, dalej majstruje. Józek utyka trochę na nogę i jest znany na całym tym odcinku jako największy „cwaniak”, który wszystko potrafi wy dostać. Wie bestja, że go kapitan lubi, nigdy jednak nie nadużywa tego i jest bardzo do swego pana przywiązany.

Chwilę jest cicho. Z daleka tylko dochodzą odgłosy gdzieś toczącej się bitwy, lekki szum wiatru i kapanie kropli deszczowych. Jest prawie ciemno, przez wejście z boku sączy się tylko nikłe światło kończącego się dnia. Józek wyczyścił lampkę i z wielką ostrożnością zabiera się do szkiełka, oblepionego z jednej strony kawałkiem gazety. Tak jest tem przejęty, że aż język mu wylazł na brodę. Skończył, postawił ostrożnie szkiełko na stole, przypatruje się i mruczy z zadowoleniem:

JÓZEK: Szkli się, jak nasze kanony! Żeby tylko cholera jedna znowu nie pękała. W takiej mokrej dziurze wszystko pęka. Nawet portki się same rozłazą.

U wejścia ukazuje się żołnierz. Jest to ordynans porucznika Zawiszy, przyjaciela kapitana, żołnierze nazywają go „Bandzioch”, bo je za szczęściu i nigdy się najeść nie może. Staszek Bandzioch. Dobry, wesoły chłopiec, śmiesznie gruby, na krótkich nogach, zawsze uśmiechnięty i nigdy nie obrażający się na docinki kolegów, którzy go lubią za jego humor, odwagę i granie na harmonji.

JÓZEK (spozstrzega go): Te, Bandzioch, znowu coś żresz? Że też ci brzuch nie pęknie.

STASZEK (kończąc coś jeść): Mój porucznik zawsze mówi: na wojnie potraza jeść o każdej godzinie i wszystko, bo nie wiesz kiedy ci znowu dadzą żarcie (dalej gryzie).

JÓZEK: No, a ty strasznie jesteś w tem posłuszny.

STASZEK: Subordynacja musi być! Nie wiesz to, co? (je dalej).

JÓZEK: Ale skąd ty masz to żarcie?

STASZEK: (chce odpowiedzieć, utknęło mu jednak coś w gardle i lekko się dławi).

JÓZEK: Widzisz, już ci nawet przeleźć nie chce!

STASZEK: Ono by ta ci i więcej przelazło, tylko (dławi się bardziej, Józek wali go pięścią po karku) no! nie walże tak warjacie, bo mnie tam boli jeszcze po tem rąbnięciu przez tego hycła ułana moskiewskiego, pies mu mordę lizał.

JÓZEK: Jeśli psy są na tamtym świecie, bom go przecież kolbą tak zdzielił, że nawet nie zipnął. Nie pamiętasz? Pewnie, że nie pamiętasz, bo cię w godzinę potem łapiduchy zabrały. Byłeś zrobiony fest na trupa. Jużem myślał, że w kompanji będzie więcej żarcia.

STASZEK: Zawsze się mylisz. Nawet z tym tytoniem kapitana!

JÓZEK: A żeby z ciebie Mochy sznycle porobiły! Jeśli ja kiedy memu kapitanowi (zapala się, zaczyna kusztykać po lepiance) bodaj jednego papierosa, pół papierosa, ćwierć...

STASZEK (pojednawczo): Ze śpasów przecie, Kustykacu. A ze śpasów nie ma grymasów. Takich oficerów, jakich my mamy, nikt nie ma.

JÓZEK: A co mówić o moim kapitanie!

STASZEK: Pewnie, że morowy.

JÓZEK: Morowy? To mało, najmorowszy: Jego Dziadek

kiedyś generałem...

STASZEK (przerywa): A cóż to mój porucznik kurze wypadł z pod ogona? Niby on zawsze będzie porucznikiem?

JÓZEK: Te, Staszek! My też nie zawsze będziemy ordynansami. Przecież człowiek jest żołnierz jak się patrzy, bijemy się morowo, Mochy przed nami w portki robią aż śmierdzi, zadowoleni z nas...

STASZEK: Będzie, co ma być. Nie do ciebie należy! Widzicie go! Naczelnny dowódca!! Możeby cię tak do sztabu?

JÓZEK: Wolę tu.

STASZEK: I ja też. Józek, co my będziemy robili jak się wojna skończy?

JÓZEK: Skończy? Wojna się nigdy nie skończy! Od tego jesteśmy. Skończymy z Mochami, zaczniemy z kim innym. Nie wiesz to, że Polacy bili się nawet w Ameryce. Opowiadał mi to nauczyciel.

STASZEK: Głupiś. Nie może być. Dziadek nie zechce. Z ciebie swoją ulicą byczy chłop, choć ci nogę trochę przetrącili. No, (wydyma się), postaramy się Józefie was awansować przy następnej bitwie. Zrobi się.

JÓZEK: Rozkaz, panie generale! Masz tu kumeta (daje mu skrócić).

(kręć papierosy).

JÓZEK: Te! Tylko nie takiego wieloryba!

STASZEK (z komiczną miną): Doktor mi zakazał palić cienkie.

JÓZEK: To se skreć w tekturę.

STASZEK: Już. (po chwili). Ale nudy, co? Od kilku dni

siedzimy tu jak szczury i nic. I ten pieski deszcz!

(Milczą. Słyszą kapanie deszczu i wycie wichru).

JÓZEK (prostuje kości, wzdycha): Chandra, psia krew. Masz harmonijkę?

STASZEK: Jeszczeby nie? Przecież wiesz, że nawet czasem w ataku.

JÓZEK: Wiem. To zagraj.

(Staszek wydobywa z kieszeni ustną harmonijkę i zaczyna grać „ojrę“. Józek śmieszenie podryguje a potem śpiewa):

„Jeśliś taki zuch nadludzki
wal, gdzie jest Dziadek Piłsudski,
nie zna on co ceregiele
drwi, gdy grzmią w niego szrapnele“.

(Obaj zaczynają tańczyć po ziemiance).

(Głośniejszy huk działa ciężkiego. Zatrzymują się).

JÓZEK: Coś się tam chwala Bogu zaczyna.

STASZEK. Ano, idzie twój awans.

JÓZEK: Te, mądrała. Już dawno nie żarłeś, to ci gębę wykręca pieskimi żartami.

STASZEK (udaje nagle zasmuconego): Przydałoby się coś na ząb.

JÓZEK: Na ząb? Na ząbek? Na całą paszczę, Bandziochu. Czekał mam tu coś dla ciebie.

STASZEK (wyciąga rękę): Generale!!

JÓZEK: Masz. (daje mu kawałek chleba i jakieś mięso).

STASZEK (zaczyna jeść i mówi): Właściwie to ja w tym interesie przyszedłem do ciebie. Widziałem, że kapitan poszedł do porucznika, to ja jak w dym do Józieczka, majsterka.

JÓZEK: Żryj zdrowo i nie udław się.

STASZEK: Sercem mi przecie dałeś.

JÓZEK: Ręką!

STASZEK: Poprawiaj jak chcesz, byle było coś do frygania.

JÓZEK: Ciemno już, trzeba zaświecić. Zresztą kapitan wnet wróci.

STASZEK: To ja wrywam.

JÓZEK: Zostań jeszcze trochę.

STASZEK: Nie mogę. (Wyprostowuje się, salutuje): Melduję, że żarcie było małe ale dobre, tytoń najtylniejszy koński, ale smaczny.

JÓZEK: Czekał, dam ci kiedy!

STASZEK: E, dasz jeszcze Józieczku, boś chłop dobry jak pierogi. (wzdycha) Kiedy my znowu pierogi...

JÓZEK (śmieje się): Zachciało się starej babce?

STASZEK: A zachciało się okrutnie i nikt jej zaspokoić nie chce. No, serwus. Przyniosę ci jutro coś fajnego, zobaczysz. (Odchodzi, grając cicho na harmonijce. Głos tej harmonijki słychać jeszcze chwilę).

JÓZEK (słucha chwilę, nieruchomieje, potem spluwa i mówi): Chandra, psia krew, czy co. To dlatego że człowiek siedzi i nic nie robi.

(Powoli zabiera się do świecenia lampki, potem ją ostrożnie wieszka. Na dworze silniejsze wycie wichru i bardzo dalekie odgłosy walki. Ktoś w sąsiednim rowie śpiewa przejmującą piosenkę):

„A gdyś już bracie w boju legł,
do kraju duch doleci,
choć ciało cudza ziemia żre,
obce mu słońko świeci“.

JÓZEK (słucha chwilę, potem otrząsa się, poprawia ostrożnie lamkę i mówi): Jak elekstryka we Lwowie. Żeby mnie tak car gdzieś ugryzł.

(Nie widzi, że wchodzi kapitan).

KORECKI (lat 40, średniego wzrostu, zgrabny, ruchy energiczne, oczy bystre, włosy krótko strzyżone, mała bródka): A ty co?

JÓZEK (podrywa się): Elekstryka, panie kapitanie melduję posłusznie.

KORECKI: Jeszcze się ten grat trzyma?

JÓZEK: Tak jest, melduję posłusznie.

KORECKI: Tylko śmierdzi.

JÓZEK: Śmierdzi?

KORECKI: Ano pewnie, że nie pachnie kolońską wodą, Ale nie martw się.

JÓZEK: Gront panie kapitanie, że się świeci, melduję posłusznie. Tylko z jednej strony trza jeszcze zalepić papierem a niema.

KORECKI: Ale skąd ty to właściwie wydostałeś?

JÓZEK: Melduję posłusznie, że, no... nie kupiłem... ale...

KORECKI: Jeśliś gdzie ściągnął!!

JÓZEK: Żeby mną Mochy kanony wycierały, że nie. Dała mi ją dziewczyna w tej wsi, gdzieśmy cztery dni temu siedzieli, a

ja jej dałem coś innego.

KORECKI: Obwieś jesteś!

JÓZEK: Tak jest panie kapitanie!

(Korecki krząta się po ziemiance, szuka czegoś).

KORECKI. Jakże ją przyniosłeś, nie widziałem.

JÓZEK: Dowiedziałem się, że tu dłużej posiedzimy...

KORECKI: Widzicie go! Dowiedział się!

JÓZEK: Ano tak. My ordynansi, melduję posłusznie, wiemy zawsze, co gdzie piszczy. Czasem lepiej, niż kanary przepraszam, niż żandarmerja, melduję posłusznie.

KORECKI: No, no! (Szuka czegoś dalej).

JÓZEK: Dowiedziałem się i jakoś przytaskałem. Tylko szkło mi pękło, choć stało, że „nie pękające“, w manierce przyniosło się krzynę kamfiny na zapas...

KORECKI: Zuch z ciebie, choć jesteś łotr, Józek.

JÓZEK: Powiedziała mi to też dziewczyna na odchodnym, melduję posłusznie. Przepraszam, pan kapitan szuka czego?

KORECKI: Jest jeszcze trochę rumu?

JÓZEK: Jest, jest, aino, melduję posłusznie. Schowałem, ajakże, schowałem, tu w kącie. (Schyla się, obciera nos palcem i wydostaje manierkę).

KORECKI: A nosa paluchem nie wycieraj, jak co podajesz!

JÓZEK: Tak jest, panie kapitanie. To tylko na wspomnienie tego rumu.

KORECKI: Do nosa ci to idzie!

JÓZEK: Pachnie tak, melduję posłusznie, bez korek nawet.

KORECKI: Dostaniesz i ty.

JÓZEK: Dziękuję, ślubowałem jednak...

KORECKI (patrzy na flaszkę i śmieje się): Co ślubowałeś?
Ty?

JÓZEK: Tak jest, melduję posłusznie, że nigdy nie będę po odrobinie, tylko całą manierką, bo to nawet smaku niema.

KORECKI: Ty, ktoby cię nie znał, toby cię kupił. Ale słuchaj: za chwilę wrócę. Będzie u mnie pan porucznik i pan podchorąży...

JÓZEK (nagle wypala): Psia ci babka... (w tej chwili zatyka sobie usta dłonią i prostuje się strwożony).

KORECKI: A to co?

JÓZEK: Przepraszam panie kapitanie, ale pan podchorąży mówi ciągle „psia ci babka“ to my go tak nazywamy, melduję posłusznie, ale go szanujemy...

KORECKI: No dość!

JÓZEK: Tak jest, panie kapitanie.

KORECKI: Masz na czym zrobić herbatę?

JÓZEK: Zrobi się, melduję posłusznie.

KORECKI: A te śmiecie z kąta wyrzuc.

JÓZEK: Rozkaz!

(Korecki wychodzi. Józek wynosi śmiecie z kąta, potem majstruje koło lampki, czasem zaklnie „choleraby wzięła z takim szkiełkiem“, ogląda manierkę z rumem, wacha, mlaska językiem. U wejścia chyłkiem dostaje się Staszek).

STASZEK (udaje głos kapitana): A to co do kroćset!!!?

JÓZEK (jak rażony piorunem, o mało co byłaby mu wypadła manierka. Wreszcie się orientuje i klnie): Żeby ci brzuch pękł, Bandziochu zatracony! Cóż ty myślisz, że chciałem kapitanowi wypić, pieski synu?!

STASZEK (śmieje się): E nie — alem ci pietra napędził. O mało co byłbyś zgubił nos w manierce.

JÓZEK: Zgub se swój brzuch! Włazi jak złodziej!

STASZEK: No, już, obiecałem, więc przytargałem.

JÓZEK (stawia ostrożnie manierkę na stole): Co?

STASZEK: Od jednego saniteta dostałem salami. Weź.

JÓZEK: Sa-la-mi?

STASZEK: A tak. Nie wiesz co to jest?

JÓZEK: No?

STASZEK: Taka fajna kiełbasa z osła — twojego brata.

JÓZEK: Żebym ja z twojej ciotki nie zrobił marmolady!

STASZEK: Słowo honorowe! To specjał cholerny. Popatrz.

JÓZEK (wącha): Pachnie.

STASZEK: Zjedźże zaraz.

JÓZEK (w pierwszej chwili chce jeść, potem widocznie się rozmyślił, chowa salami do swego płaszcza): E, potem zjem. Nie głodnym teraz.

STASZEK: Na jedzenie nie trzeba być głodnym.

JÓZEK: No, dobrze już, nie każdy ma taki brzuch, jak twój. Dać ci tytoniu?

STASZEK: Mam, jutro mi dasz. Wyrrywam, bo mój porucznik jest.

JÓZEK: Ma tu przyjść.

STASZEK: Tak? Fajno. Będzie można pograć u siebie na harmonji. Serwus!

(Józek zostaje sam, kręci się po izbie, coś sprząta, wreszcie wychodzi. Scena jest przez jakiś czas pusta. Słychać coraz silniejsze strzały armatnie z daleka, świst wiatru i kapanie deszczu, bijącego ze śniegiem. Kilka płatków tego mokrego

śniegu wciska się do ziemianki i taje na podłodze. Po chwili tupot nóg i głosy. Wchodzą kapitan Korecki, porucznik Zawisza i podchorąży Brzeg. Kończą jakąś rozmowę).

KORECKI: Pięknie, dobrze! Ale natarłbym mu uszu za nieposłuszeństwo. Nie znoszę tego.

PODCHORAŻY BRZEG (młody, wysoki szatyn z marzycielskimi oczyma. Mówi gorąco i zapala się): Gdybym miał takiego syna, psia ci babka...

KORECKI: Szkut jest, siedmnaście niespełna lat, karabinu pewnie nie udźwignie.

PORUCZNIK ZAWISZA (wesoły, jowjalny blondyn): Mój drogi, mało masz takich?

KORECKI: To prawda, ale zawsze bestja nieusłuchliwa. Proszę was, rozgośćcie się.

(Siadają, jak kto może).

ZAWISZA: W takich czasach...

KORECKI: Wiem co mi powiesz, rozumiem, ale widzisz, pasja mnie bierze i choć tego...

ZAWISZA: Cieszysz się nim. Napewno!

KORECKI: Naturalnie wolę, że nie jest cielak, ale dam mu najpierw nauczkę, jak go złapię.

ZAWISZA: Ty ciągle swoje. Zacięty jesteś, ale to niby... Właściwie jak się to stało?

KORECKI: Prawda, nie wiecie. Józek! Józek! Gdzież ta bestja zatracona?

(Wpada Józek, staje na baczność).

KORECKI (do Józka): Miałem gdzieś trochę herbaty, ugotujesz na nafcie.

JÓZEK (robi przerażone oczy): Na kamfinieeee?

KORECKI (przedrzeźnia go): A na kamfinieeee. Cóż to płynne złoto, żeś tak wybałuszył oczy?

JÓZEK: Melduję posł...

KORECKI: Nic nie melduj, tylko machaj.

JÓZEK (prędko): Zgotuję, ale nie na kamfinie, melduję posłuszn...

KORECKI: Pal cię djabli z twoją „kamfiną“, tylko zrób.

JÓZEK: Rozkaz.

KORECKI: A cukier?

JÓZEK: Ma się wi, że mamy jeszcze trochę, melduję posłuszenie.

KORECKI: Posłusznie więc odmelduj się do herbaty i wymyj menażki.

(Józek wychodzi).

KORECKI: Więc ja wam jeszcze nie opowiedziałam tego? Proszę, papierosy.

(Korecki wstaje, wyprostowuje się, o tyle jednak, by nie uderzyć głową o sufit, to jest wyciąga się przed siebie połową ciała, schylony postępuje krok naprzód i siada na rogu tapczana, nawprost lampki, która dokładnie oświetla jego kształty, twarz piękną i bystre, dobre oczy).

(Porucznik Zawisza siada na drugim końcu tapczana, podchorąży Brzeg na jakiejś paczce. Palą papierosy).

KORECKI (zaciąga się smakowicie, odgarnia czuprynę): Gdy mi się udało wywinąć ze szpitala — swoją drogą

niepotrzebnie mnie tam dwa tygodnie trzymali, bo rana była głupia — skoczyłem na jeden dzień zobaczyć co z żoną i synem. Moskali już stamtąd przepędzili, na szczęście szkód nie było, nic nikomu się nie stało. Już zaraz po przyjeździe zauważyłem, że mój Jurek niby jest zadowolony z mego powrotu a przecież jest jakiś cichszy, spogląda na mnie chyłkiem, jakby mnie badał. Myślałem początkowo, że się boi o to moje draśnięcie...

BRZEG: Ładne draśnięcie, psia ci babka, kawałek ciała wyrwał szrapnel!

KORECKI: Nie naruszył jednak kości.

ZAWISZA (do Brzega): Nie przeszkadzaj!

KORECKI: Myślałem więc, że dlatego jest taki jakiś. Popołudniu, gdyśmy chwilę zostali we dwójkę, przystąpił do mnie i patrząc mi w oczy, zaczął recytować: „Proszę ojca, mam wielką prośbę“. No to mów. A on dalej jednym tchem: „Proszę mi pozwolić wstąpić do Legionów“. Co takiego? „Muszę, proszę, chcę“. Jakoś samo wypełzło mi na usta ostrzejszym głosem, bo mnie coś zarwało w nodze: Dzieciuchów tam nie trzeba! Z matką kto zostanie? „Mam skończonych 16 lat — wybełkotał Jurek — jestem zdrowy, cztery lata byłem skautem — strzelać — jak ojciec wie, umię dobrze. A mama może zostać u cioci, która i tak, jak wujcio poszedł z Sokołem, z babcią została. Przecież moi koledzy...“ Przerwałem mu: Wybij sobie to z głowy. Nic z tego. „Dlaczego?“ Bo nie — odpowiedziałem. „Ja jednak muszę“ — upierał się. Nie! odpowiedziałem, czując jednak, że dziwnie mięknię. Tymczasem chłopiec odparł ze złością: „To ucieknę“.

Wiecie, że jestem trochę pasjonat. W dodatku zląkłem się o dzieciaka. Jedynak (ciszej) moje i żony szczęście. Widziałem

tyle tych młodych, zniszczonych ciał. Samolubne serce ojca zapomniało wszystkich innych uczuć. Sprawie ja służę, życie dam za nią, ale on, to niezwykle rzeczywiście dziecko, marzyciel, muzyk. A zresztą ten jego upór, na który poraz pierwszy natrafiłem. Zdawało mi się, że więcej w nim było złości, niż przekonania.

ZAWISZA: No i?

KORECKI: Tylko się poważ — krzyknąłem. „Ha no“, odparł to takim głosem, że zdawało mi się, iż chętką go odeszła (do gości): Ale dlaczego nie palicie? Tytoń jest, proszę.

BRZEG: Palimy. Dziękuję.

KORECKI: Pomyślałem: więc to było tylko chwilowym kaprysem, przebłykiem dziecinnego zapalenia się na widok mojej szabli? Nie ukrywam, że odetchnąłem. Myślałem sobie: taki jak ty, może kiedyś inaczej, lepiej przydać się Polsce. Nie! i to nie! Bez kłamstwa! Człowiek, wiecie, ma w sobie różne może piękne instynkty, lecz ten, niech się to nazywa samczy instynkt zachowania swego gatunku, czy też wszystko oślepiająca miłość ojcowska do dziecka jedyne, które dała ukochana kobieta, jest silniejszy ponad wszystko. Znacie mnie przecie? Wiecie, że jeśli trzeba, nie oszczędzam siebie, że dla sprawy... co tu gadać, ale ten dzieciuch! Zresztą wtedy miałem jedno uczucie: ulgi i smutku zarazem, smutku nieokreślonego. Potem nastąpiło uspokojenie. (Chwilę milczy, potem mówi dalej): Wyjechałem. Na pożegnanie powiedziałem mu: A bądź mężny i pamiętaj o mnie; odpowiedział, całując mnie: „Będę ojciec“. W drodze opadły mnie sprzeczne uczucia... ale to do rzeczy nie należy. W dwa tygodnie po powrocie do pułku otrzymałem od żony list, w którym mi donosiła, że Jurek po moim wyjeździe wyjechał pokryjomu. Zostawił list, że nie

może siedzieć w domu, kiedy ojciec jego jest w polu. Żona prosiła mnie, że gdybym go spotkał, bym mu oddał medaljonik, który dołączyła do listu.

PORUCZNIK: Więc przecie postawił na swoim?!

BRZEG: Zuch chłopak, psia ci babka!

JÓZEK (który już od dłuższej chwili stał u wejścia i słucał, nagle ryknął): Morowiec!!

KORECKI: A ty co znowu?

JÓZEK (stropiony bardzo, zatyka gębę ręką, potem wypręca się na baczność): To jest, melduję posłusznie, niby słycałem, że nasz panicz tego... niby tego wyrwał się do nas i tak... tego wysnęło mi się.

KORECKI: Niech ci się nie wypsnuwa, bo ci każę godzinę stać na baczność przed miotłą. Dawaj herbatę.

JÓZEK: Rrrozkaz!

(Podaje menażkę, którą przyniósł i jakieś kubki blaszane. Robi to z wielkiem przejęciem, aż sapie).

KORECKI: Proszę. A tu nawet jakieś ciasto, które ten hycel (wskazuje na Józka) lichu wie gdzie wy dostał. A nie powie, żebyście go tępą piłą rznęli. No?

JÓZEK: Tajemnica moja i dziewczyny, melduję posłusznie.

BRZEG: Cóż ty, psia ci babka, w każdym miejscu masz inną?

JÓZEK: Noga koślawa, serce gorące, panie podchorąży, więc lecą do niego dziewczuchy, jak pszczoły do ula.

ZAWISZA: Gdzie ty na tem pustkowiu wynachodzisz dziewczęta?

JÓZEK (chyttrze się uśmiechając): One ta wszędzie nas

wynajdą.

BRZEG: Takie masz szczęście, psia ci babka, do nich, a nie wyglądasz tak, by szaleć za tobą.

JÓZEK: Miłość, jest jak pchła.

KORECKI, ZAWISZA, BRZEG (śmieją się): Ha, ha, ha, co takiego?

JÓZEK: Miłość, melduję posłusznie, jest jak pchła: nikt nie wie do kogo skoczy!

(Wszyscy się śmieją — Józek też).

BRZEG: Filozof, sentencjonista, psia ci babka!

ZAWISZA: Udał się, szelma.

(Zapalają papierosy, dolewają herbaty).

JÓZEK (wyciąga ze swego płaszcza salami, które dał mu Staszek i podaje kapitanowi).

KORECKI: Cóż to?

JÓZEK: To? to jest taka kiełbasa z brata... tfu! to ten Staszek, ordynans, drania kawałek tak mi powiedział.

KORECKI (śmieje się): Nie rozumię.

JÓZEK: Melduję posłusznie, to taka kiełbasa z osła. Jakieś salcefiks, czy jakoś. Wiem, że fajne.

KORECKI: Skąd wzięłeś?

JÓZEK: Skąd? (przeciąga) Aha, niby skąd?... Zafasowaliśmy, to jest jakoś się samo tego...

KORECKI: Ty! Coś znowu kręcisz! A cóż ten Staszek?

JÓZEK: Panie kapitanie, ja potem... Kiełbasa jest fajna.

KORECKI: Djabli wiedzą skąd on to wszystko wydostaje.

No już dobrze.

(Korecki kraje salami i rozdziela).

KORECKI: Proszę was. (do Józka): Zagotuj jeszcze trochę wody.

JÓZEK: Rozkaz (wychodzi).

ZAWISZA: Chłopaka ci jednak gratuluję i jestem pewny, że na froncie jeszcze zmęźnieje. Niespełna siedmnaście lat... Ano, pewnie, może zawcześnie... jest ich jednak u nas dosyć. Tylu rąk przecie potrzeba...

BRZEG: Morowy dzieciak, psia ci babka, niema co!

KORECKI: Pasja mnie jednak bierze, że mnie tak wywiódł w pole tem swoim „ha, no“, które zdawało się mówić, że zrezygnował. Pierwsze też gdybym go spotkał, byłoby natarcie uszu. Chce być żołnierzem, a słuchać nie umie.

BRZEG: Teraz jest nim dopiero i pewno, psia ci babka, nauczył się tej cnoty.

ZAWISZA: Nie zetknąłeś się z nim dotąd?

KORECKI: Nie. Zmienił pewno nazwisko, bojąc się, że jeśli go spotkam, nie przebaczę.

ZAWISZA: A jakże!

BRZEG (kręcąc nowego papierosa): Chwat, chwata, psia ci babka, bez komplementów, ojca idzie śladem.

ZAWISZA: Ten z pewnością dziś znowu kropnie jakiś sonet o synach, co (akcentuje) „ojców idą śladem“.

KORECKI: Niech ja tylko wpadnę na ten ślad...

(Chwila ciszy. Dym snuje się po ziemiance. Na dworze rozhulał się tymczasem wicher grudniowy. Dalekie grzmoty

dział. W przerwach słysząc szmer ściekających kropeł. Porucznik szarpie za małe wąsiki, Korecki oparł się wygodnie o łóżko i znieruchomiał. Podchorąży ujął w dłonie głowę, oparł się o kolana i lekko się kołysze. Nagle silniejszy podmuch wichru wpada do izby i budzi ich z zadumy. Kapitan wstał, przeciągnął się, podchorąży podniósł głowę).

BRZEG: Ładny grudzień, psia ci babka, chlapie jak w październiku.

ZAWISZA: Za dwa tygodnie Boże Narodzenie! Lepszy już najgorszy mróz, niż ta chłapawica. Brrr! Mokre nudy!

(W szum ściekających kropeł nagle wsącza się melodia harmonijki. Ordynans Staszek gra w pobliskim rowie „Białe róże“. Wiatr nawiewa raz głośniej, drugi raz cicho tony piosenki żołnierskiej).

ZAWISZA: To mój Staszek. Wybrał się z tem graniem! (Mówi z lekkim zdenerwowaniem): Akurat w taki czas!

(Melodję słyszać dalej)

BRZEG: Przynajmniej trochę przerwie to, psia ci babka, nieznośne ciapkanie deszczu. Ładna melodia te „Białe róże“.

ZAWISZA (odruchowo): Aha...

(Chwilę słuchają, podchorąży gwizdże z cicha melodję harmonijki, kapitan zrobił kilka kroków, wreszcie, jakby sobie przypomniał):

KORECKI: Możeby jeszcze herbaty? Józek! Gdzież się

znowu zapodział? Aha, mam tam nowy preparat, ponoś świetna czarna kawa. Spróbujemy? Nie ma po czym, ale...

BRZEG (deklamuje):

„Po oceanie czarnej kawy
płynę do wyspy ukojenia“...

ZAWISZA: Tylko proszę cię, nie rób karawaniarskiego nastroju! Z poetami to tak zawsze. Na dworze zajęczy zawierucha, ktoś zapiszczy na jakiejś harmonji, coś mu się we łbie zwidzi i zaraz „stimmung“ kawiarniany. Żołnierz jesteś atramenciarzu!

KORECKI (z uśmiechem): I to nie byle jaki.

BRZEG: Dziękuję. Robi się co można, psia ci babka, z tymi Mochami.

ZAWISZA (niby uszczypliwie): I czerpie tematy do ogoniastych wierszy...

BRZEG: „Odi profanum vulgus“!

ZAWISZA: No, no, to teraz już w trzeciej klasie gimnazjalnej gryzą Horacego? Za moich czasów...

KORECKI: Józek! Józek!

(Melodja się urywa, wpada Józek)

KORECKI: A ty gdzie łazisz?

JÓZEK: Wyszedłem się tego, melduję posłusznie, przewietrzyć.

KORECKI: Chyba przemoczyć?

JÓZEK: Tak jest panie kapitanie, najlepsze lekarstwo na ciągoty.

KORECKI: Wisielec! No, a teraz jeszcze gorącej wody i nie włącz się!

JÓZEK: Rozkaz.

(Wychodzi).

ZAWISZA: Ale wiesz z tym twoim synem to pyszne. Zamiast na fortepianie — mówiłeś, że gra już nadzwyczajnie — bębni z karabinu. Artysta (powiedział to przeciągle, umyślnie niby złośliwie, patrząc na podchorążego) a jednak chwyt.

PODCHORAŻY puszcza mu kłęb dymu prosto w twarz.

KORECKI: Jeszcze nie powiedziałem wam wszystkiego. Ten bąk kręci się od kilku dni blisko mnie w jakimś oddziale i raczy mi nawet przysyłać wyrazy uznania!

ZAWISZA: Jaktó?

KORECKI (wyjmuje portfel i wyciąga jakąś starannie przechowywaną kartkę. Podchodzi do lampy). Kilka dni temu doręczył mi któryś z żołnierzy. Myślałem, że list z naszej poczty. Czasu nie było na razie czytać i przyjrzeć się doręczającemu. Dopiero potem otwieram. Pisane ołówkiem. (Czyta blisko lampki).

Drogi Tatusiu!

Wczoraj widziałem prowadzony przez Ciebie atak. Świetnie, aż serce rosło. Tylko niepotrzebnie tak się wysuwasz naprzód. Byłem na flance. Każdej chwili mieliśmy Cię wspomódz od zachodniej strony wsi. Nie mogłem się tego doczekać. Potem znikłeś mi z oczu. Jeszcze nigdy tak się w duchu nie modliłem,

jak wtedy. A potem słyszałem pochwały dla Ciebie. Taki jestem dumny. Spisujemy się obaj dobrze, bo ja dzisiaj właśnie zostałem kapralem. Jak Mamę Kocham, żebym to wiedział, że się już na mnie nie gniewasz?

Cześć!

Jerzy.

ZAWISZA: Złote chłopczysko!

BRZEG: Wbrew moim planom, żenię się, psia ci babka!

ZAWISZA: A temu co:

BRZEG: Żeby mieć takiego syna!!

ZAWISZA (do Koreckiego): No i ty się jeszcze boczysz?

BRZEG: Nie do wiary, nie do wiary...

KORECKI: Być może, że nie odesłałbym go do domu, bo teraz byłoby już trudno, ale...

ZAWISZA (przerywając, jakby sobie coś nagle przypomniał): Prawda! jeśli on wtedy był na zachodnim krańcu wsi... Przecież tam kawalerja!

KORECKI: Jeździ dobrze konno. Na wsi u ciotki nie złazi z konia. Jakże on tam jednak...

(Wchodzi Józek)

JÓZEK: Woda gorąca, melduję posłusznie.

KORECKI: Weź z mojej torby te brunatne kostki, wrzuc i pomieszaj. Tylko nie paluchami!

JÓZEK: Wi się, mel...

KORECKI: Nie zawsze i nie wszystko „wi się“!

(Józek przyrządza kawę i podaje — Korecki nalewa).

JÓZEK (staje na baczność): Pan kapitan pozwoli?

KORECKI: A co?

JÓZEK: Czy mogę odejść?

KORECKI: Gdziesz cię djabli noszą w taki czas?

JÓZEK: Ja tylko na chwilę do przyjaciela. Interes.

KORECKI: Ładny to już interes złodziejski. No idź.

ZAWISZA: Ta bitwa, o której wspomina twój syn, miała doskonałe epizody.

KORECKI: Pamiętam. Miałem również kilku takich, prawie jak mój Jurek mikrusów. Byłem w rozpaczy co z tem zrobić. Starzy żołnierze patrzyli na malców przez ramię.

ZAWISZA: Ale się spisali, co? (rozłożył ręce i prawie dotknął się nosa podchorążego) Jak stare wiarusy!

BRZEG: Nie potrzebujesz znowu tak, psia ci babka, machać rękami, jak wiatrak. Wiatru tu tak wielkiego niema, choć na dworze wyje. Djabelska opera.

ZAWISZA. Tybyś naturalnie chciał takiej prawdziwej. Obszerna sala, ciepło, pachnie, panusie, flircik. Poczekaj trochę i posłuchaj na razie tego bohaterskiego barytona wiatru. Nie podoba się panu, co?

BRZEG: Powiem ci, że...

JÓZEK (wpada): Panie kapitanie, melduję posłusznie, ułam z rozkazem! Ledwo się na nogach trzyma. Spotkałem. Pędził pieszo. Konia mu szpica rosyjska zabiła. Było ich trzech. Wystrzelali ich. Ten wywinął się. Uciekł na przełaj, rymnął do rzeki, zmylił ślad i dobił do nas. Mówi ważny rozkaz do komendanta trzeciej kompanji. Więc do nas. Pytał czy nie pomylił, (oddecha z trudem).

(Wszyscy zerwali się z miejsc).

KORECKI: Dawaj go!

(Za chwilę wciska się coś jak widmo. W nikłym kręgu lampki stoi młodziutki żołnierz. Ubranie na nim poszarpane, strzępy te utyłane w błocie i ściekające wodą. Z pod czapy nie widać twarzy. Jest bez szabli. Widać po nim straszne zmęczenie.

Salutuje i wyciąga z zanadrza jakiś papier).

KORECKI (wpatruje się chwilę w niego, potem w jednej chwili podbiega i woła): Jurek!!

JUREK: Ojciec?! (opanowuje się z trudem i mówi): Melduję posłusznie, panie kapita... (zachwiał się i byłby runął. Podtrzymali go obecni, ułożyli na tapczanie Koreckiego. Rozpinają mundur. Korecki szuka rany).

ZAWISZA: Rana lekka, przestrzał lewej ręki, przyjdzie zaraz do siebie. Przedewszystkiem wyczerpany.

KORECKI: Józek! Jest jeszcze trochę czarnej kawy? Dawaj! (Unosi głowę Jurkowi, wlewa w usta kawę. Potem przypomniawszy sobie przyniesiony rozkaz, rozwija papier i czyta. Mówi następnie szybko): Teraz siódma. Za pół godziny wyruszamy. W K... jest gorąco. Grozi osaczenie. Chłopca zostawi się z Józkiem. Przewiezie go do L... do polowego. A więc panowie...

(Cichy jęk Jurka. Korecki nachyla się nad nim wszyscy czynią to samo).

ZAWISZA: Otworzył oczy.

KORECKI: Lepiej ci?

JUREK: Już dobrze. Ale się... tatuś nie gniewa?...

(Korecki bez słowa całuje syna).

ZAWISZA: Jakże to?

KORECKI: Niech nie mówi!

JUREK: Nic mi nie jest wielkiego tatusiu. Wyjechaliśmy we trójkę. Ja miałem rozkaz do komendanta trzeciej kompanji. Nie wiedziałem, że to ojciec. Jeden z tamtych miał się kropnąć do W... drugi do majora Rysia...

KORECKI: Nie mów, słabniesz. Trzeba przedewszystkiem przewiązać rękę.

(Opatruje mu rękę. W czasie tego Jurek od czasu do czasu syknie cicho z bólu).

JUREK: Po drodze opadli nas. Tamci zostali w polu. Mnie, kiedy już dopadałem wiklin, ubili konia. Dopadł mnie kozak. Lunąłem na odlew, najpierw przez pysk konia, potem kozaka przez łeb. Szelma zdołał jeszcze wystrzelić z nagana i drasnąć mnie. Aa!

ZAWISZA (bandażując): Boli?

JUREK: Tylko chwilę. Teraz już nie. Jeszcze tu może z boku zawinąć. Zawrócić nie mogłem, bo miałem przecież rozkaz. Schowałem się w wiklinach. Na drugim końcu zebrało się znowu trzech zbójów. Broni nie miałem, Janina mi pękła...

BRZEG: Co?

JUREK: Nazwałem tak moją szablę. To imię mamy, na jej cześć. A więc wszedłem w wodę i chyłkiem na drugą stronę. Nie zobaczyli. Więc bokami, choć mnie piekło trochę w rękę, dostałem się do naszej placówki. Musiałem ładnie wyglądać, bo żołnierz, skoro mnie ujrzał, kiedym się wynurzył z za

pagórka chciał do mnie strzelić. Teraz oddałem i dobrze. Jest mi...

ZAWISZA: Omdlał.

KORECKI: Józek, kawy!

(Cucą go).

BRZEG (odstąpił wstecz, oparł się o ścianę i mówi jakby do siebie): To, co wyczarował Wyspiański, ciałem się stało. Nie! Tam, w „Warszawiance“ to tylko pieśń, a tu prawda, życie, krwią zadokumentowane przez to dziecko święte.

ZAWISZA (do kapitana): To tylko szalone przemęczenie. Nic mu nie będzie. Usnął z wyczerpania. Mój ordynans z Józkiem zajmą się nim.

BRZEG (z rozdrażnieniem): No. niechże go kapitan teraz ukarze.

KORECKI (ze zdziwieniem patrzy na niego).

ZAWISZA: A ty co, u diabła?!

BRZEG: Nic!!

KORECKI (otrząsnął się i mówi już pewnym głosem): A więc za chwilę wymarsz.

BRZEG (wychodzi. Natknął się na Józka i zdenerwowany mówi): Nie zawadzaj gamoniu, psia ci babka!

(Korecki z Zawiszą okrywają Jurka, na dworze rozszalała się na dobre wichura. Dalekie strzały coraz wyraźniejsze).

KORECKI (do Józka): Przyszłę medyka, który jest u nas. Razem z ordynansem pana porucznika weźmiecie syna i ostrożnie przewieziecie. Wiesz gdzie?

JÓZEK: Tak jest, panie kapitanie.

KORECKI: Ten medaljonik oddasz synowi. Od matki powiesz. Masz tam zostać. Przyszłą zapytać.

JÓZEK: Rozkaz.

KORECKI: A teraz mój rewolwer, torba, płaszcz. Prędko!

(Korecki patrzy na zegarek, potem na przewieszoną już u pasa, oprawną w rzemień mapę)

KORECKI: Zrozumiałeś wszystko?

JÓZEK: Wszystko, meld...u...ję posłusz...nie.

KORECKI: A tobie co?

JÓZEK (widocznie wzruszony): To tak z zimna.

KORECKI: Pamiętaj więc!

(Podchodzi do syna, chwilę patrzy na niego, dotyka ręką jego głowy, wreszcie energicznie do Zawiszy):

Wychodzimy! Czas!

(Wyszli. Józek patrzy na Jurka, podchodzi na palcach do niego. W tej chwili wchodzi do ziemianki Staszek).

JÓZEK: Ciiii!

STASZEK (chce jak najciszej i właśnie dlatego uderza butem o dyl. Józek wygraża mu pięścią. Jurek się przebudził, otwiera oczy).

JUREK: Ojca niema?

JÓZEK: Wyszedł.

STASZEK: A możeby panicz...

JUREK: Pan kapral, durniu!

STASZEK (niedowierzająco): E, jakże to?...

JUREK (ocknął się już): Tak jest, od wczoraj.,

STASZEK (prostuje się służbowo): Możeby pan kapral coś przetrącił?

JÓZEK: Te, cóż ci to we łbie?

STASZEK: Na rany panie kapral, najlepsze zarcie. Prędko się goi, słowo honorowe.

(Jurek się uśmiecha).

K o n i e c.

Ⓒ Tekst jest własnością publiczną (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Artur Schroeder](#).

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej [Wikiźródła](#)^[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie:

[Rozkaz](#)

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów nie podlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 3.0 Polska](#)^[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. [Przyłącz się do nas!](#)^[3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na [tej stronie](#)^[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Wieralee

- Ankry
- Kuladam
- Himiltruda
- Nutaj
- Nawider

-
1. [↑ https://pl.wikisource.org](https://pl.wikisource.org)
 2. [↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl](http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl)
 3. [↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki](https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki)
 4. [↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium](http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium)